

Kronika tygodniowa.

Już to w bieżącym roku, nawet w tak zwanym sezonie kanikularnym, na brak wszelkiego rodzaju sensacji narzekać nie możemy. W spokojnym dotąd Krakowie mamy i morderstwa i napady bandyckie i kradzieże z włamaniami i bez włamań, a sławna Aida (z policyi, nie z opery!...) tak się już przepracowała, że i ona wniosła podanie o dłuższy urlop celem wypoczynku. Wiadomości cech złodziei, najliczniejsze dziś zrzeszenie przemysłowe Krakowa.

Szkoda tylko, że mało jest sensacji aprowizacyjnych, które więcej obchodziłyby z pewnością mieszkańców, niż kwestya, czy tajemnicze znaki, jakie otrzymał Marconi przy pomocy swego telegrafu bez drutu, pochodzą z Marsa, czy też z Wenery i co mogą znaczyć. Kto wie, czy i stamtąd nie wybiera się do nas jaka misja, aby jeszcze więcej chaosu wprowadzić w nasze sprawy zewnętrzne i wewnętrzne.

Nawet o paryskim Sinobrodym, Landru, piszą gazety nasze najwyższymi raz na tydzień, tyle jest innego materiału. Z ostatniej korespondencji z Paryża dowiedzieliśmy się, że twarz mu zapuchła i światło ogromnie go razi, co jest dowodem, że go bolą zęby i oczy. Sędzia śledczy przesłuchał go dopiero w sprawie piętnastej narzeczonej, a miał ich podobno całą kopę, wobec czego z nazwiskiem jego przyjdzie się spotkać nieraz jeszcze.

Ale największego stanowczo klina zabiła nam w głowę jakaś uczona Amerykanka, zajmująca się w braku czego innego fizyologią, a nie kuchnią.

Okretną drogą, gdyż z Ameryki przez Norwegię, przychodził do nas wiadomość, iż młoda uczona po wieloletnich doświadczeniach doszła do przekonania, że świat może się zupełnie spokojnie obejść bez mężczyzn, a ludzkość i tak nie wyginie.

Ja byłbym może i nie zwrócił uwagi na tak ważny, choć zamieszczony na samym końcu *Kurjerka* artykuł, ale wyszperała go moja zająca Weronika i, poduwając mi pod nos, zawołała z tryumfem:

— Masz!... Czytaj!...

Czytam i oczom nie wierzę... Czytam drugi raz i dowiaduję się, że źle z nami, rodzajem męskim, gdyż jesteśmy skazani na zupełną zagładę, a cały świat ma się zmienić na jedną wielką rzeczpospolitą babliską, gdzie żadnego mężczyzny nie uświadczymy!

W pierwszej chwili myślałem, że to może żart, niestety, z bólem serca przekonałem się, że wiadomość zaczerpnięta jest z poważnego pisma, nie humorystycznego.

Owa panna asystentka fizyologii w Northampton twierdzi, że dzieci będzie można smaczyć w retorcje chemicznej przy temperaturze 37 stopni Celzjusza, że będą to osobniki zupełnie rozwinięte i mogące żyć aż do samej śmierci, będą to jednak wyłącznie przedstawiciele płci nadobnej. Mężczyzny dotąd wynalazczyni nie wyhodowała i zapewne dlatego jest jeszcze stara panna.

Ponieważ zaś, jak dalej tam wyczytałem, jedna kobieta może w ten sposób dać życie pięćdziesięciu tysiącom istot rodzaju żeńskiego, można żywić nadzieję, że już w najbliższym czasie rozpocznie się masowe zaludnianie w ten sposób całego świata, a rodzaj męski, jako zupełnie niepotrzebny, skazany będzie na wymarcie, skreślił się go nawet i w podręcznikach szkolnych.

Wszelkie teorie Schenków, Cinielskich i t. d. o zapładnianiu pójdą w ką, a na pierwszy plan wysunie się teoria panny asystentki z Northampton. Za lat sto, lub dwieście może przyjść do tego, iż mężczyznę będą pokazywać w muzeach, tak, jak dziś mamuta, lub innego przedpotopowego potwora.

Świat bez mężczyzn... Brzmi to wprawdzie ładnie, ale nie zdaje mi się, by się to dało w praktyce przeprowadzić. Jestem pewny, że marnie nie zginie, gdyż chyba nie braknie samych niewiast, które się nie zgodzą na te amerykańskie teorie, ale oświadczą się za starym, wypróbowanym już systemem, uwzględniającym oba rodzaje i dodającym jeszcze i nijaki.

I w tem cała nasza nadzieja!

Już to można śmiało powiedzieć, że wszystko, co do nas przyjdzie z Ameryki (z wyjątkiem spadku po jakimś bogatym wujaszku!...), to niewiele warto. Ot, nie tak dawno i kronikarz zapadł na zdrowiu po amerykańskim smalcu, którym się uraczył, nie mogąc dostać masła.

Przeczytawszy artykuł w *Kurjerze*, w każdym razie westchnąłem ze smutkiem, a Weronika rzekła:

— No i cóż?...

— Ano, nie! — odpowiedziałem ze spokojem, gdyż tak łatwo nie tracę równowagi.

— I obejdzie się bez was!...

— Hm... To się obejdzie!... Może zdecydujesz się na próbę?... Mogłabyś nawet do pięćdziesięciu tysięcy doprowadzić, ale ja wtedy podaję się o rozwód, gdyż nie byłbym was w stanie utrzymać... Pięćdziesiąt tysięcy par trzewików, pięćdziesiąt tysięcy kapeluszy, pięćdziesiąt tysięcy żakietów... Nie!... O tem nawet myśleć nie można, gdyż głowa pęka!... Wówczas warto być szewcem, krawcem, lub kupcem galanterijnym... Choć, kto wie, czy i to się opłaci!... Nie będzie mężczyzn, to i dla kogóż będą się niewiasty stroili?...

— To prawda! — odparła po namyśle.

— Wobec tego zostajemy przy dawnym systemie?...

— Niech już będzie!... Ja tam amerykańskich wymysłów ciekawą nie jestem...

I daliśmy sobie buzi, jak to było za dawnych czasów.

Nikt się też zapewne nie zdziwi, że opuściły mnie myśli samobójcze i nabrałem ochoty do życia, mimo, że austriacka korona ma w Szwajcaryi wartość aż... dziesięć centimów, a my dotąd jeszcze liczymy na korony, bo „lechy“ poszły dawno do licha, a złote polskie dopiero się maluje.

I, jakby na zawołanie, wpadł mi zaraz w rękę artykuł, także *Kurjera* (dowód, jak pilnie go czytałem!) pod tytułem: „Jak dożyć do stu lat“.

Są to japońskie reguły zdrowia, a jest ich aż dwanaście, co zaś najważniejsza, nie następczą zbyt wiele trudności przy zastosowaniu ich w praktyce.

Czy jednak może z nich korzystać Europejczyk, czy tylko Japończyk, oto kwestya, której dotąd rozwiązać nie zdołałem.

Paragraf pierwszy radzi przebywać przeważnie na świeżem powietrzu, trzeci każe spać przy otwartych oknach, co razem wzięwszy, łatwe jest w lecie do przeprowadzenia. W drugim zawarte jest napomnienie, aby się wcześniej kłaść spać (zapewne ze względu na oszczędzanie oświeślenia) i wczasy wstawać, jeśli się ma zamiar oglądać wschód słońca, lub stawać w jakimś ogonku.

Herbaty i kawy każe japoński higienista pić mało, zupełnie zaś wstrzymać się od używania nikotyny i alkoholu, czego my, dzięki wojnie, przestrzegamy bardzo pilnie.

Natomiast paragraf szósty nasuwa już pewne wątpliwości, powiada bowiem: „Bierz co rano ciepłą kąpiel“, a to się sprzeciwia orzeczeniu amerykańskiego lekarza, o którym niedawno w kronice wspominałem.

I oto sęk!... Komu wierzyć: Amerykaninowi, czy Japończykowi, skoro zdania ich tak są rozbieżne. Sądzę, że wobec tego powinno się obrać drogę pośrednią i kąpać bodaj... raz w roku.

Słódmy paragraf każe spalić jedwabne szaty, nosić zaś jedynie wełniane (niechajby nawet bawełniane lub pokrzywkowe!...), ósmy natomiast radzi przez jeden dzień w tygodniu wstrzymać się od wszelkiej pracy, nawet od czytania i pisanja.

I to mi się spodobało!... Postanowiłem próżnować dwa dni w tygodniu, wobec czego powinienem żyć lat dwieście!...

Co do paragrafu dziesiątego i dziesiątego, na podstawie których kawaler i wdowiec ma się żenić, nie podzielam zdania Japończyka, bezżenni mają bowiem mniej kłopotów, a te, wiadomo powszechnie, skracają życie. Zgadzałem się natomiast na paragraf jedenasty, który mówi, że się nie powinno przebywać w zbyt ciepłym pokoju, zwłaszcza, jeśli brak węgla tak daje się odczuwać, jak obecnie.

Kończy paragraf dwunasty, który opiewa, jak następuje:

„Staraj się te organy, które przez wiek używają się lub wyczerpują, stale odświeżać i odnawiać, żywiąc się odpowiednimi organami zwierzęcymi“.

I teraz dopiero, dzięki owym japońskim przykazaniom, otwarły mi się oczy. Zrozumiałem, dlaczego niektórzy nasi wielcy uczeni z takim smakiem zajądają paszteciki z cielecym mózgiem, a niewiasty ozór, rozmaicie przyprawiony.

Może na tej podstawie dałoby się wytłumaczyć, dlaczego nasi paskarze tak lubią pieczeń wieprzową. Ten czworonóg jest zawsze ich ideałem, jeden z nich ma nawet nad swem biurkiem jego podobiznę z podpisem: „Żyj tak, jak i ona, a dożyjesz do miliona!“...

Że zaś milion, to rzecz pożądana, zwłaszcza w dzisiejszych ciężkich czasach, nie też dziwnego, że ci zacięni obywatele krzepią swego ducha bodaj... wieprzową pieczeńką.

Ponieważ żywot swój prowadzę prawie zupełnie tak, jak każe ów japoński higienista, mam wszelką i uzasadnioną nadzieję, że doczekam bodaj stu lat, zwłaszcza, że te reguły bardziej mi do serca przemawiają, niż wywody owej asystentki fizyologii z Northampton, której radziłbym odżywianie się cielecym mózgiem.

Jeśli zaś dożyję owych stu lat, doczekam się może

i nastania normalnych stosunków, bo wcześniej się na to nie zanosi bynajmniej.

Jak nie Niemcy to Rosya, jak nie ona to Węgry, Czechy lub ktoś inny narobi bigosu, który trudno strawić. Ostatnio odezwała się i Ameryka, oświadczała przez usta któregoś ze senatorów, że zgodzi się na ratyfikację pokoju, ale pod warunkiem, że Liga Narodów nie będzie miała prawa wtykać nosa w sprawy wewnętrzne swych członków, gdyż łatwo stać się może, że ktoś ciekawy zapyta:

— A co też słychać z mniejszością murzyńską w Stanach Zjednoczonych?...

A podobne pytanie idzie zawsze ogromnie nie w smak Amerykaninowi, tak, jak poruszenie kwestyi irlandzkiej lub indyjskiej, Anglikom.

I nie dziwię się wcale, bo i cóż to może obchodzić mego sąsiada, co się u mnie dzieje, na mojem obejściu.

Wujaszek Wilson będzie zatem musiał wobec woli senatu skapitulować i wyrzucić się tej opieki Ligi Narodów nad poszczególnymi członkami, co jednak było podyktowane tylko życzliwością dla Żydów i dodaniem im otuchy, że w Polsce nie się im złego nie stanie, gdyż Liga stoi stale na straży ich praw. Wielka szkoda, że nie dodano do tego: „...i obowiązków“, gdyż o nich radzi byłby zapomnieć.

Długo zatem jeszcze wody upłynęło i w młodzyna-rodowej Wiśle i w uregulowanej Rudawie, nim nastanie prawdziwy spokój w świecie. Kto wie, czy na to cierpliwe czekanie wystarczy owa setka lat, czy też nie trzeba pomyśleć o drugiej.

Nawet pan Morgenthau nie załatwił się tak rychło ze sprawą żydowską w Polsce, zwłaszcza, że ogromnie wiele trudności napotyka przy wyszukiwaniu naprawdę pokrzywdzonych i doszedł podobno do przekonania, że Polska jest dziś dla dziatwy Izraela właściwą ziemią obiecaną, gdzie żyć, a nie umierać, tembardziej zaś nie ruszać się stąd, skoro jest tak dobrze.

Dowodem tego, iż ma zamiar założyć w Warszawie wielki bank amerykański, w którym Polacy mają znaleźć kredyt, a „mniejszość narodowa“ zajęcie, gdyż według słów pana senatora będą tam Żydzi przyjmowani bez ograniczenia.

Jeśli więc jego współwyznawcom tak się źle u nas wiodło, jak o tem gada stale pan Cohen, chyba nie występowałby z podobnym projektem, ale zabawił się w drugiego Mojżesza i wyprowadził swój lud z „domu niewoli“, co wobec ułatwionych stosunków komunikacyjnych nie byłoby połączone z takimi trudnościami, jak ongi.

Ale dokąd ich wprowadzić?... Do Palestyny iść nie chcą, a Ameryka ich nie chce, choć pan Morgenthau jest osobistym przyjacielem wujaszka Wilsona.

W ubiegłym tygodniu bawił pan senator i w Krakowie, nie wiemy jednak, jakie stąd wywodzi wniosków. Być może „puścił parę“ dopiero wtedy, gdy się znajdzie w Ameryce.

Syonisci nie są jednak z niego zadowoleni i żądają zastąpienia go innym delegatem, któryby zaraz narobił krzyku, w jakim oni tutaj żyją ucieszeni.

Pobyt pana Morgenthaua w Krakowie przeszedł prawie niespostrzeżenie. Nie było ani urzędowego przyjęcia, połączonego z witalami, ani bankietu na jego cześć. Nawet agendy, na której jawili się przedstawiciele miejscowej prasy, odbyła się tak tajemniczo, że większość krakowskich redaktorów nie o niej nie wiedziała. Pospieszili przeważnie tylko przedstawiciele wydawnictwa *Nowego dziennika* w liście coś około pół kopy z okładem.

Że bankietu nie było, temu się i dziwić nie można, nie było go bowiem i na przyjęcie pana Hoovera. Gdy w tej sprawie interpelowano pana prezydenta, miał odpowiedzieć:

— I czem go miałem przyjąć?... Chyba smalcem amerykańskim, skoro niema nic innego!... A ten mu przecież nie dziwny!...

Co do pana Morgenthaua, nie pozwalaliby na to i względy rytualne, boć to nie gęsi smalec, ale wieprzowy.

Dla urozmaicenia „ogórkowych czasów“ mieliśmy mieć w tym czasie strajk golibrodów, choć oni z ogórkami nie mają nic wspólnego. Na razie obeszło się bez niego, ale pertraktacje między personelem a pryncypałami są w toku. Tak będzie, czy owak, odbije się to na naszej kleszeni, albo też zmusi nas do pójscia w ślady owego starożytnego tyrana Dyonizjusza, który, „bojąc się nożów balwierskich, rozżarzoną węglem opalał sobie włosy“, jak sobie zapamiętałem ze zdania, zamieszczonego w wypisach łacińskich na klasę pierwszą, czy drugą.

Z tego samego punktu widzenia, co ów Dyonizyusz, wychodził także i niedoszły władca Węgier, Bela Kuhn, odmawiając cehowi balwierzy stanowczo prawa istnienia, jako niepotrzebnemu.

